

Marianna Czerniecka
(Marianna Czerwiecka)

MOJE WSPOMNIENIA

Z Grodzieńszczyzny przez X aż do Krakowa

Czytając różne ludzkie tragedie i przeżycia, cierpienia wielu Sybiraków i nie tylko, chciałam i ja moje skromne wspomnienia choć w skrócie opisać, może mniej więcej podobne do wielu innych ludzkich przeżyć co do czasu i miejsca, gdzie los nam nazaczył żyć i być.

Urodziłam się w rodzinie rolniczej, we wsi Rogożyn Stary, gm. Lipsk n. Biebrzą w pow. Augustów w 1921 roku. Dzieciństwo moje było półsieroce. Po urodzeniu mnie Matka niecałą dobę żyła, podobno był krwotok i koniec. Zostało nas dwoje: brat - 2 lata i ja. Wychowywała nas do 5 lat Babcia - matka Ojca. Później, gdy Ojciec się ożenił, Babcia była chora i wkrótce zmarła. W 1928 roku Ojciec ze swoim teściem rozkupili folwark Poniemuń nad Niemnem, gdzie przeprowadziliśmy się całą rodziną. Wychowywałam się w ciężkich warunkach, wciąż budowa, całe gospodarstwo Ojciec musiał pobudować, no i zaczęło przybywać - dość szybko - rodzeństwa. Musiałam pomagać w gospodarstwie i w wychowaniu dzieci. Jedyną moją radość była, jak szłam do szkoły 2 km, albo już późnym wieczorem, gdy przy małej lampie naftowej odrabiałam lekcje. Po "podstawówce" bardzo chciałam się uczyć dalej, choćby jakiegoś zawodu, ale Ojciec był przeciwko, trzeba było pomagać w gospodarstwie. Byliśmy z bratem już siłą roboczą.

Nasze gospodarstwo było spore - 40 ha, w tym 20 ha ziemi ornej, reszta las i łąki nad Niemnem. Była to bardzo piękna okolica letniskowa. Statki pływały po Niemnie pasażerskie i towarowe. Swego czasu o pięknych nadniemeńskich kniejach w Poniemniu pisała nasza wielka pisarka Eliza Orzeszkowa, która tam często spędzała wakacje i swój jubileusz 25-lecia pisarstwa w 1891 roku właśnie tam obchodziła.

I tak lata płynęły i właściwie nie miałam dzieciństwa, a jedynie pracę i obowiązki. Brak było ciepła Matki, to trudne do opisanie, choć czasem i były radości, ale krótkie. Rodzina powiększyła się, nas dwoje i sześcioro przyrodniego rodzeństwa. Ojciec był gospodarny, przedsiębiorczy, stanowczy. Po wybudowaniu się ulepszał sprzęt, maszyny, upiększał budowle, pomnażał inwentarz. I tak nadszedł 1939 rok.

Już w końcu sierpnia zabrano konie i sprzęt oraz służącego do wojska. Wojna! Byliśmy przerażeni. Nasza miejscowość miała dookoła wieś białoruskie. Pamiętam, jak parę razy do roku przy drodze wieszano czerwone flagi. Ojciec wiedział o organizacjach komunistycznych.

I tak nastał tragiczny wrzesień. Biedni żołnierze uciekali, zjawiali się, i w nocy, po krótkim posiłku, kierowaliśmy ich drogami bezpiecznymi. Pamiętam, gdzieś po 20 września, już nachodzili nas z czerwonymi opaskami i pytali, szukali polskich oficerów, grożono. Zjawiali się po nocach, jedni odchodzili, drudzy przychodzili i mówili: koniec kułakom i pomieszczykom. Psy pozabijali, żeby nie szczekały, jednym słowem bezprawie. Niedługo zjawili się Rosjanie, czubaryki, niczym dzicz, prawie cały dom zajęli na sztab, było dużo wojska. I mówili, że przyszli nas oswobodzić od pomieszczyków. Ale na szczęście po miesiącu odjechali i tak nas "oswobodzili" od wszystkiego. Za jakiś czas przyszli z opaskami i Ojca aresztowali pod zarzutem, że przechowywał polskich oficerów. Niedługo przyszli i brata zabrali. Nie wiadomo, gdzie było szukać i kogo pytać. Ale gdzieś po miesiącu już utworzył się jakiś rząd, czyli właściwie sielsowiet, i Ojca puścili, a za niedługo i brat wrócił. Zaraz naznaczono kontygent zboża, mięsa i ziemniaków tak duży i to natychmiast, tak że zrobiła się pustka w oborze, chlewie i stodole, mało co zostało dla nas.

Pamiętam, gdzieś w końcu listopada, czy początkach grudnia było jakieś głosowanie w szkole, na którym spotkałam bardzo miłego chłopaka - Ziutka, wprawdzie znałam go jeszcze ze szkoły, był starszy ode mnie. Wyglądał bardzo mizernie. Od tego czasu nawiązała się nasza bliższa znajomość. Jak później opowiadał, cudem wrócił z wojny do domu. Przez cały tydzień leżeli w bagnie, strzelano do nich ze wszystkich stron. Ale dobrzy ludzie przynosili cywilne ubrania i tak w przebraniu pojedynczo wracali. Często u nas bywał. Pochodził z miejscowości Żukiewiczze, odległej od mojej o 4 km. Jego rodzina była zamożna, ojciec był wójtem. Mięli 100-hektarowe gospodarstwo, młyn, staw rybny, duży ogród owocowy i dużą pasiekę pszczół. Naturalnie zaraz Rosjanie zrobili sielsowiet, kolchoz jednym słowem, zabrali wszystko, dali skromne pomieszczenie i tyle. Zaczęto spisować wszystkich bogatszych i innych Polaków, nazywali "płochonadwożnymi". I tak nastał czas strachu i niepewności jutra. Mój chłopak wiedział, że będzie źle, i pojechał do Grodna poszukać pracy, choć

nie było łatwo ją dostać z takim pochodzeniem. W końcu po wielkich trudach otrzymał pracę jako kierowca w zarządzie drogowym. Jeździł z naczelnikiem, nawet go polubił. Gdzieś po około roku znalazł skromny pokój i postanowiliśmy się pobrać. Ze strony męża były nie lada problemy rodzinne, czego nie będę opisywać, na razie czekała nas "rozpiska" w sielsowiecie, a ślub trzeba było wziąć potajemnie. Dopiero więc po tygodniu, 24 lutego 1941 r., wieczorem o godz. 22 pobraliśmy się, po cichu, bo baliśmy się o pracę męża. Mimo tego wszystkiego byliśmy bardzo szczęśliwi. I tak zaczęliśmy nowe życie, choć skromne ale inne, odczuwam czułość, opiekę i miłość, której brakowało mi od dzieciństwa. Mieszkała z nami siostra męża, która chodziła do gimnazjum. W rodzinie męża było sześcioro rodzeństwa. Dla 2 braci z czasem mąż też załatwił pracę. Ale niedługo to trwało, bo już na większą skalę zaczęły się aresztowania i wywóz na Sybir. I tak wiosną 1941 roku, pewnego razu z soboty na niedzielę, całą noc ruch samochodowy, pełne ciężarówki ludzi wiezionych w kierunku dworca, a raniutko w niedzielę ktoś nas powiadamia, że cała rodzina już w wagonie. Natychmiast pobiegliśmy, co się tam działo... krzyki, jęki, żołnierze nie pozwalali się zbliżyć, wszyscy załadowani do bydłowych wagonów, ale jakoś z wielkim trudem odnaleźliśmy ich. Powiedzieli, że o północy zajechała ciężarówka, dali 2 godz. czasu na spakowanie się i tu przywieźli całą rodzinę. Tak wożono całą niedzielę i kolejną noc, z różnych stron. W poniedziałek nad ranem pociąg odjechał. Mąż poszedł do pracy i powiedział naczelnikowi, że całą rodzinę wywieźli, i usłyszał na to, że i on "tożę zapisan", ale na razie nie pojedzie. Poszedł do garażu i tam dowiedział się, że jest wojna z "Germancem". Za jakiś czas huk samolotów i bombardowanie, mąż przybiegł po mnie, już płonęły domy w pobliżu, krzyki, ogromny ruch wojska, nie dało się ulicą przejść, samochody, czołgi... Szybko coś niecoś wzięliśmy i słyszemy, że znów nalot. Uciekliśmy za miasto. Wszyscy ludzie uciekali, miasto płonęło. Tak przesiedzieliśmy całą noc, a nad ranem pobiegliśmy, żeby coś zabrać, ale już nie mogliśmy poznać, gdzie mieszkaliśmy. Zostaliśmy, jak staliśmy, co począć. Gdzieś w południe już jechali Niemcy. Postanowiliśmy iść do domu męża. Na wieczór doszliśmy, wszystko wyotwierane, co chwilę zajeżdżają Niemcy, w ogrodzie 2 krowy ryczą nie wydojone. Wydoiłam, zagoniłam do chlewa, a sami zamknęliśmy się w jakimś kąciku i zasnęliśmy.

Wciąż było słycać plądrowanie Niemców. Raniutko zauważyli męża i konna, konna wołają, mieli jakieś cielę, kazali oprawić. Zjawił się stary koń rodziców, zaraz kazali zaprzęgać. Mąż tłumaczył, że nie ma zaprzęgu, że Rosjanie zabrali, ale nie było tłumaczenia. Pod pistoletem jakoś powiązał sznurami, coś tam naładowali i kazali jechać. Pożegnawszy się ze mną pojechał. Zrozpaczona, ze strachem dobiegłam do mojego Ojca, ale już na drugi dzień wróciłam z Ojcem, bo trzeba było pilnować, ratować, co zostało, bo po nocach grabiono. Jednak już po paru dniach Ojciec musiał do siebie wracać, zostałam z wielkim strachem, chowałam się po krzakach. Pewnego dnia przyszły dwie świny - maciory, było co robić. Najgorzej było w nocy, bałam się w domu nocować, więc albo w krzakach, lub w chlewie w kąciuku... I tak płacząc i modląc się czekałam na męża. Gdzieś po tygodniu wrócił z samym koniem, mówił, że dwa razy uciekał. I tak zaczęliśmy tworzyć z wielkim trudem gospodarstwo z nadzieją i wiarą, że Bóg da, rodzinka wróci. Już z czasem było słycać, że niektórzy wrócili, że nie zdążyli zawieść na Sybir. Także gdzieś po miesiącu, może więcej, część rodzinki wróciła, jedni uciekli, w Stołpcach rozbili pociąg, kto nie zdążył uciec - ładowali i dalej wieźli. Ale już w Baranowiczach, gdy na granicy rozbili Niemcy pociąg, to już wszyscy uciekali, mimo że strzelali do ludzi jedni drugima otwierali wagony, zostawiali wszystko, tylko z duszą i ciałem uciekali. To, co się tam działo, trudno opowiedzieć. I tak na raty powrócili wszyscy, tylko ze skromną torbą i kijem, ale cieszyliśmy się i Bogu gorąco dziękowaliśmy, że wszyscy jesteśmy i jako tako zdrowi. Teść był ucieszony, że wszystkich ułi nie wyniszczyli, ale resztę zniszczono, zdemolowano.

Zaczynaliśmy gospodarzyć od nowa, ale już po jakimś czasie i Niemcy zaczęli stosować swoje metody i wywozić na roboty do Niemiec. Mąż znów wiedział, że jest źle i poszedł do pracy jako kierowca komisarza w gminie, także trochę ratował rodzeństwo, trzeba było bez przerwy okupywać się wszystkim. Przy komisarzu był wójt - volksdeutsch, bardzo do Polaków był źle ustosunkowany. Z czasem zaczęły się tworzyć partyzantki, polskie, ruskie bandy, były różne napady. Rozpoczęły się aresztowania, przeważnie Polaków. Były różne anonimy, wójt donosił komisarzowi, żandarmom. Mąż coś niecoś rozumiał. Bracia męża należeli do AK, często bywały napady w nocy przez bandę, były strzelaniny. Komisarz wezwał męża, powiedział,